

Usłyszawszy nazwisko Mironeau, chory poruszył się nerwowo. Wkrótce jednak uspokoił się tak, że mógł z hrabią swobodnie rozmawiać, odpowiedział więc głucho:

— Z przeszłością moją zupełnie zerwałem i zmieniłem nawet nazwisko, przekonany, że w ten sposób zatnę wszelki ślad po sobie, że nie spotkam już nikogo z tych, którzy mnie dawniej znali.

— Jednak jest ktoś, wobec kogo nie umiałeś pan zachować tajemnicy i który znał pański pseudonim.

— Tak — mój ojciec!

— Właśnie; zdradził pana ojciec, ale tylko wobec mnie.

— A jakich pan miałeś interes w tem, aby śledzić moje kroki? — zapytał teraz chory, który wobec hrabiego, dawnego swego chlebodawcy, zachowywał się zupełnie jak wobec równego sobie. Hrabia spojrział nań posępnym wzrokiem.

— Mogę pana zapewnić — rzekł wyniośle — że nie robiłem tego dla prostej przyjemności.

— Więc czego pan chcesz odemnie?

— Naprzód chciałbym wiedzieć, co się dzieje z tą Gizelą, której wychowaniem pan się zająłeś. Gdzie ona się znajduje?

— Prawdopodobnie jest przy swoim mężu. Od czasu, jak ślub wzięła, już nie słyszałem o niej.

— Mówisz pan prawdę?

— Jak pragnę, aby Bóg był dla mnie miłosierny.

Hrabia mruknął coś pod nosem, poczem rzekł:

— Z wiarygodnego źródła otrzymałem niedawno wiadomość, że prokuratora państwa zarządziła rewizję procesu w sprawie zamordowania mego brata, a zarządziła ją na skutek jakiegoś anonimowego doniesienia. Cóż pan na to?

— Nic!

— Czy anonim ten wyszedł od pana, czy też pan dał powód do tego? Proszę o odpowiedź!

— Nie odpowiem panu.

— Złamałeś pan przysięgę, czy nie?

— Przysiędze mojej pozostałem wierny.

— Ale autorem anonimu musiał być ktoś, do brze w tej sprawie poinformowany. Kto to mógł być?...

— Nie mam pojęcia.

— Zdaje mi się, że pan zaczynasz grać fałszywą rolę! — rzekł hrabia, patrząc nań jaszczurczym wzrokiem.

— Nie potrzebuję grać, nie gram i nie będę. Hrabia podniósł groźnie rękę w górę.

— Mogę pana tylko ostrzedz, abyś pan nie łamał przysięgi, rozumiano?! Gdyby panu kiedy przyszła ochota wygadać się, to — zginiesz!

— A pan ze mną!

— O, mnie nikt niczego nie udowodni, podczas gdy jedno moje słówko wystarczy, aby cię posłać na szubienicę!

Chory uśmiechnął się.

— Nie groź mi pan, panie hrabio; źle się pan wybrałeś z groźbami.

— Wiedz pan jednak o tem, że nie lubię gadać na wiatr. — Ale jest jeszcze inna sprawa.

— Proszę pana, tylko niech się pan streszcza. Jestem chory i nie mogę długo rozmawiać.

— Zależy to zupełnie od pana, jak prędko skończymy.

— O cóż więc chodzi?

— Zawarliśmy swego czasu tajemniczy układ, którego jeden egzemplarz znajduje się w pańskich rękach. Ten egzemplarz musisz mi pan wydać!

— To się nie stanie! — odparł sucho Hohlfeld.

— A ja panu mówię, że to się stać musi!

— Skąd pan przychodzisz do tego, aby żądać tego pisma odemnie?

— Podejrzenie moje, że pan jesteś autorem anonimu, o którym mówiłem, jest uzasadnione i wobec tego widzę się zmuszonym odebrać panu ostatnią broń, jakiejbyś pan mógł użyć przeciw mnie!

— A ja miałbym się zdać bezbronny w zupełności na łaskę i niełaskę pana, hahaha! — śmiał się szyderczo Hohlfeld.

— Sam pan sobie przypisz winę tego, że muszę pana uczynić bezbronnym. Bo nie myślę wcale czekać, aż pan, z mojem własnym pismem w ręku, staniesz przeciw mnie jako główny świadek w sądzie.

— O tem wcale nie myślę — przerwał mu chory.

— Tem lepiej, więc mi pan wydasz to pismo i to natychmiast!

— A ja wtedy zostanę bez niczego i pan mnie spokojnie wtrącis do więzienia.

W oczach hrabiego płonęły iskry gniewu i nienawiści.

— Więc pan nie chcesz wydać pisma? — syknął przez zaciśnięte wargi.

— Ani mi się śni!

— Czy to pańskie ostatnie słowo?

— W tych warunkach — ostatnie!

Hrabia wyprostował się. Na czole osiadła mu groźna chmura. Przyszedł do Hohlfelda ze stanowczym zamiarem wydobywania pisma, które było dlań wyrokiem śmierci w ręku obcych ludzi — a postanowił je wydobyć za każdą cenę, choćby nawet za cenę nowej zbrodni, która miała ukoronować szereg zbrodni poprzednich.

— A więc giń, psie podły! — ryknął, rzucił się na chorego i począł go dusić.

Wiedział on, że ten człowiek mógł go zgubić. Myślał więc, że najlepiej będzie, jeżeli go zdusi i w ten sposób zamknie mu na zawsze język.

Chory stawiał zaledwie słaby opór, chwil parę jeszcze a byłby ducha wyzionął, gdyby nie stało się coś dziwnego. Hrabia uczuł, że go ktoś chwycił za kołnierz i odrzucił od łóżka. Był to proboszcz, silny, krzepki, w średnim wieku mężczyzna, który nadszedł właśnie w samą porę, że mógł jeszcze przeszkodzić zbrodni i dostojnemu mordercy wydrzeć z rąk ofiarę.



...— Więc giń psie podły! — ryknął hrabia, rzucił się na chorego i począł go dusić...

Hrabia Mironeau, ujrawszy przed sobą księdza, w tej chwili zorientował się w sytuacji i uznał, że w tym wypadku przegrał. Rzucił więc wściekły wzrok na swojego dawnego sprzymierzeńca, którego uczynił zbrodniarzem a teraz zamordować usiłował, zaklął głucho i wzięwszy szybko kapelusz, wypadł z pokoju.

XII.

I odpuść nam nasze winy...

Proboszcz pozwolił uciec nieznanemu zbrodniarzowi; jak sądził, musiał on mieć przy sobie broń, mógłby go więc łatwo zabić. Ponadto pościg za nim w pustej, gęstwinami leśnymi pokrytej równinie, nie przedstawiał najmniejszych szans powodzenia.

— Nie wymknie on się jednak z rąk sprawiedliwości i wcześniej czy później z pewnością dosięgnie go karząca Nemezis.

Tak rzekł pobożny proboszcz i zwrócił się do chorego, który tymczasem począł już słabo oddychać. Podał mu więc limoniady, co go tak orzeźwiło, że otworzył oczy.

Radość zajaśniała na jego twarzy, kiedy ujrzał proboszcza, którego znał bardzo dobrze, przy sobie. Ale upłynęło kilka minut, zanim mógł zebrać tyle sił, by móżdż mówić.

— Czy ksiądz proboszcz poznał tego łotra? — wyszeptał.

— Niestety nie, mój kochany. Nie znałem go. A pan?

— Ja — znam go — Niestety zbyt dobrze.

— Któż to więc był?

Hohlfeld nie odpowiedział odrazu. Wiedział on dobrze, że, wymieniając nazwisko hrabiego Mironeau, zmusi prawie proboszcza do pytania, jaki związek ma ta cała historia, a w takim razie nie pozostanie mu nic innego, jak wyznać otwarcie całą prawdę.

W sercu jego toczył się więc zacięty bój między sumieniem a miłością własną i podczas gdy pierwsze kazało mu uczynić wyznanie wszystkiego, druga usiłowała mu zamknąć usta fałszywym wstydem.

Jednak grzesznik czuł, że stoi już w obliczu śmierci, a straszliwa tajemnica wieczności, sąd boży, przed którym miał za chwilę może stanąć, sprawiły, że po krótkim wahaniu postanowił wyznać wszystko i w ten sposób zrzucić z sumienia swego ciężar, jaki je przygniatał.

— Ten dostojny pan — rzekł po chwili — z którego rąk ty, księże proboszczu, wyrwałeś szczątki mojego życia, nie był nikim innym, tylko hrabią Mironeau.

Ksiądz przestraszył się.

— Na Rany Boskie — co pan mówi?! Hrabia Mironeau, którego nazwisko jest tak szlachetne...

— On to był, a nie kto inny; on to przyszedł tutaj, aby mnie zamordować — przerwał księdzu chory.

— Cóż go do tego skłoniło?

— Tego się ksiądz proboszcz zaraz dowie.

Po tych słowach chory wzięł rękę księdza w swoją dłoń i rozpoczął spowiedź.

Zaczął od tego miejsca, gdzie skończył opowiadać pani Bernere.

Rządca Bernere był jego śmiertelnym wrogiem. Nienawidził go dlatego, ponieważ on ożenił się z dziewczyną przezeń ukochaną. Nienawisć ta pchnęła go do zbrodni, bo gdy hrabia Mironeau namówił go, ażeby zamordował jego brata, milionera, powracającego właśnie z Ameryki, usłuchał, zamor-

dował go, a w sądzie wskazał rządę Bernere i jego żonę jako morderców.

— Między mną a hrabią — opowiadał dalej chory — zawarty został formalny układ na piśmie. Ponieważ pismo to znajduje się dotychczas w moich rękach, przyszedł więc do mnie, abym mu je oddał, czego ja jednak nie uczyniłem. Chcąc więc usunąć z powierzchni ziemi jedynego człowieka, który wie o jego zbrodni, rzucił się na mnie, aby mnie zabić.

— Co za oteblań zbrodni! — zawołał ksiądz przestraszony.

— Tak jest, czarna to dusza ten hrabia Mironeau. Przezeń to ja stałem się tem, czem dziś jestem: nędzarzem, który ma na sumieniu dwa życia ludzkie! Bo chociaż nienawidziłem rządę Bernere i jego żonę z całej duszy, to jednak nigdy nie byłbym wymyślił takiej szatańskiej zemsty, gdyby nie hrabia Mironeau, który mi ją podał, nigdy nie byłbym upadł tak nisko; on to był, który obietnicą świetnej nagrody obudził we mnie zwierzę i uczynił mnie zdolnym do zamordowania ze zimną krwią człowieka i do zwalania winy na dwoje niewinnych ludzi. Rządca Bernere zginął na szafocie, żona jego gnije w kryminalu.

C. d. n.